Rok I. Lwów, dnia 15. Grudnia 1876. Nr. 6.

Prenumerata we Lwowie.
Całoroczna . . . . . . 3 złr. 70 ct.
Półroczna . . . . . . 1 „ 82 ct.
Z odniesieniem do domu prenumerata jak na prowincyi.
Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 cnt. od wiersza drobnym drukiem.

Wydawca i Redaktor:
Ksiądz Stanisław Stojałowski.

PIAST

Pismo polityczno-polemiczne poświęcone sprawie polsko-katolickiej.

Prenumerata na prowincyi.
Całorocznie . . . . . 4 złr.
Półrocznie . . . . . 2 „
W cesarstwie niemieckiem 8 marek
Wychodzi dwa razy w miesiącu; 15. i 30. każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya:
Lwów, ulica Piekarska Nr. 7

In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas. S. Aug. | *W koniecznych zgoda, w wątpliwych swoboda, we wszystkiem miłość. S. Aug.*

BISMARK i KONFERENCYA.

Podczas gdy komisya demarkacyjna kończyła swoje roboty, a lord Salisbury rzemiennym dyszlem zdążał do Stambułu, gdzie go już czekali wysłańcy innych mocarstw dla rozpoczęcia zbyt powoli przygotowywanej konferencyi, w chwili gdy już dziennikarzom poczęło brakować materyału — przemówił w Berlinie mąż wieku — którego od dawna napróżno wyciągali na słowo korespondenci i redaktorowie gazet, wraz z małymi i wielkimi mężami stanu. W lot pochwycono jego słowa, i szpalty wszystkich gazet zapełniły się komentarzami, rozbiorami, ocenami słów jego, a politycy gubili się w domysłach, co właściwie Bismark chciał powiedzieć. Już to samo dowodzi, że słowa Bismarka nie były tak jasne, i że dziś jak przedtem, Europa nie ma pewności ani wiadomości o zamiarach żelaznego kanclerza. — Rzeczywiście mówił on też raczej o tem co radzi innym, nie to, co sam myśli.

Rosyę zachęca do wojny, chociaż pokój jeszcze byłby możebnym, i zapewnia, że jej w tem przeszkadzać nie będzie. Anglii radzi, aby do wojny zlokalizowanej na Rosyę i Turcyę nie mięszała się jak tylko chyba półurzędownie, Austryę zapewniając o swojej sympatyi ostrzega, że byt jej może być zagrożony, a zarazem pociesza ją tem, że może liczyć na ofiarność swych ludów i na pomoc Niemiec, o sobie powiada, iż obecnie z niczem się nie wygada, ale czeka co się stanie, gdy wojujący z sobą się zmierzą i — jak on twierdzi, szybko wojnę sobie sprzykrzą.

Mowa ta Bismarka wcale nie rozświeciła sprawy wschodniej, ani nie zmieniła jej toku. To też konferencya w Stambule rozpoczęła swe przedwstępne rokowania w tych samych warunkach, jakie były przedtem.

Co do samej tej konferencyi, z początku robiono nadzieje, że ona doprowadzić może do pokojowego załatwienia kwestyi wschodniej, sam też Bismark oświadczył, że utrzymanie pokoju jeszcze nie jest „niemożebne“ Tymczasem jednak ostatnie telegramy brzmią bardzo wojowniczo, i zdaje się, że konferencya będzie tem, czem jest od pierwszej chwili, kiedy myśl jej podniesiono, t. j. komedyą polityczną, wyprawioną przez Moskwę. Rzeczywiście bowiem nic ma ona nic wspólnego z konferencyami dotąd w historyi znanemi. Konferencye dawniejsze miały bowiem na celu jużto ułożenie warunków pokoju pomiędzy wojującemi stronami, jużto załatwienie spraw innych państw pod opieką mocarstw pierwszorzędnych zostających.

Tą razą konferencya zbiera się w stolicy państwa, o którego losy i byt chodzi, i ma się odbyć za jego współudziałem. Przychodzi ona do skutku przez zabiegi mocarstwa, które chce wojny, i do wojny doprowadzi, a nawet już 6 korpusów ustawiło na granicy tureckiej, jak gdyby dla straży honorowej mającej się odbyć konferencyi, lub też dla jej zteroryzowania. Przypomina to mimowoli sejm Rzeczypospolitej polskiej, obradujący w obec najeżonych moskiewskich bagnetów.

Że państwa zgodziły się na tego rodzaju konferencyą, jest to dowodem powszechnego, iż najmniej powiemy, osłabienia poczucia godności narodowej i państwowej w dyplomatach naszego wieku — a może i dowodem zdania Kardynała Manninga, że ani gabinety, ani monarchowie sprawy wschodniej nie prowadzą — ale ktoś trzeci za nimi.

Zdaje się bowiem, że gdyby dyplomaci działać mogli niezależnie, albo gdyby nie podlegali osobiście zepsuciu moralnemu, czy to przez przysięgi tajnym potęgom złożone, czy to przez odstępstwo od zasad choćby naturalnej uczciwości, a szli jedynie za szlachetnym poczuciem godności własnego narodu, wówczas przynajmniej wysłańcy Anglii i Francyi nie byliby przybyli na taką konferencyą, albo przybyliby tylko po to, aby — wyrzuciwszy Moskwie na oczy jej ohydę, przypominawszy jej wszystkie zbrodnie i krzywdy, jakich się dopuszcza na Polakach w tej samej chwili, w której żąda wolności wyznania i autonomii dla Słowian, — opuście salę konferencyjną, i zażądać, aby pierwej siebie zreformowała i gwarancye reform tych dała, zanim tego zażąda od Turcyi.

Tymczasem rzeczy mają się całkiem inaczej. Pełnomocnicy mocarstw przybyli i na dyplomatyczne grzeczności Moskwy grzecznościami odpowiadać będą, dopóki Ignatiew, dostawszy depeszę, że mobilizacya wojsk skończona, jakiemś nowem ultimatum nie spuści kortyny, i nie powie, że komedya skończona.

Sądząc zaś po obecnem wystąpieniu i zachowaniu się mocarstw, Rosya będzie miała wolne ręce do rozcięcia mieczem sprawy wschodniej. Francya bowiem dotąd w niemocy i targana wewnętrzną rozterką nie chwyci za broń tak prędko, Anglia pilnować będzie swoich kupieckich interesów, Austrya podobnie jak Francya, i może więcej od niej choruje na chorobę dualizmem zwaną; Prusy i Włochy dadzą się okupić jakimś pożądanym kąskiem, o innych lennych państewkach Turcyi już ani mówić, skoro i Rumunia nienauczona przykładem Serbii, rzuciła się w objęcia Rosyi.

Wśród takich okoliczności „sprawa Polska“ ze sprawą wschodnią naturalnie związana, o której jednak nikt, krom Polaków i Stolicy świętej szczerze i na seryo nie myśli, nie ma ludzkim sposobem żadnych widoków pomyślnego rozwiązania. Pozostaje więc ta jedna tylko nadzieja, że Opatrzność Boża, która nie zrzekła się swego najwyższego wpływu na losy narodów, nie da zupełnego zwycięstwa bezprawiu i niesprawiedliwości. Zajść przeto mogą nieprzewidziane okoliczności, które wojnę zlokalizowaną przemienią, jak to wszyscy przeczuwają, w wojnę europejską, a oraz sprawią, że zwycięstwo nie będzie po stronie tych, co liczą na bagnety, ale raczej po stronie tych, którzy sprawiedliwość i Opatrzność Bożą za sobą mają.

Ztąd też dla nas Polaków na dziś ta jedna pozostaje droga: stać wiernie przy tradycyi narodowej, nie gonić za mrzonkami dyplomacyi, ani też nie zdradzać sprawy narodowej przez schlebianie zgubnym nowoczesnym prądom.

Po za tem cóż więcej Polacy uczynić mogą nad to, co już uczynili?. Głosić przed światem krzywdy swoje, opowiadać bezprawia rzekomych opiekunów ludzkości, przypomi-

nać prawa swoje, i wskazywać jaki interes polityczny i państwowy może mieć Europa z odbudowania Polski. To jedno możliwe, ale to się też zrobi. W tej sprawie, wyjąwszy niemieckie *Vaterland* i *Histor. polit. Blätter* wiernie sekundują Polakom przedewszystkiem pisma katolickie i konserwatywni obrońcy prawdy i sprawiedliwości. To też wskazuje nam, gdzie nasza nadzieja, oraz jaki czyn i jaka jedność dzisiaj nam przedewszystkiem jest potrzebna: Jedność w wierze i w stanie przy zasadach odwiecznej sprawiedliwości i ufność w Opatrzność sprawiedliwą. „Nowe drogi już znane, ale okazały się błędnemi" słusznie powiedział nasz żyjący poeta.

SZKOŁA KŁAMSTWA.

Bolesne i krwawe są dzieje porozbiorowe naszej ojczyzny. Rok każdy, jeśli nie każdy dzień prawie, zapisujemy łzami na kartach historyi, z tą jedynie nadzieją, że sprawiedliwy Wszechstwórca w księdze żywota nasze także zapisuje krzywdy, uciski i gwałty, oraz bezprawia i zbrodnie wrogów; tamte na nasze zbawienie te na ich pomstę i zgubę.

Ale chociaż barbarzyństwo Moskwy zgrozą przyjmuje, choiaż wyrafinowana krzyżacka przewrotność powoli nas zadławia, to jednak nie tyle one razem szkodzą naszemu narodowi, ani tak bardzo bytu jego nie podkopują, jak to, że właśni synowie tej nieszczęśliwej ojczyzny, odstępując odwiecznej ojców tradycyi, w serce narodu, wiednie czy bezwiednie, rzucają posiew zatruty, który grozi zupełnym rozkładem i zabiciem narodowej tradycyi i ducha. Słusznie powiedział wieszcz nasz:

Lecz narodu duch zatruty;
To dopiero bolów ból.

To zatruwanie ducha, jeśli jest sprawą kilku jednostek, już jest zgubnem i zatrważającem, bo i te jednostki, jeśli działają za pomocą prasy i innych środków, jakich dzisiejsze stosunki dostarczają, mogą wywrzeć najzgubniejszy wpływ na tysiące, lecz jeśli celem zatruwania ducha utworzy się zorganizowane stowarzyszenie, jeśli się złączą jednostki w formalną „szkołę kłamstwa" wówczas zaprawdę zwątpienie prawie wkrada się do serca tych, którzy prawdę poznają i widzą co się robi.

„Szkoła kłamstwa" to zupełnie co innego jak mimowolne błądzenie. *Humanum est labi*, bośmy wszyscy słabi, mówili starzy Polacy — i my może dłużej jak inni, byliśmy tego zdania, że niektóre kółka literatów błądzą bezwiednie, że tylko umysły ich zbałamucone nie serca, a więc że mając najlepsze i najszczersze zamiary do postępowania drogą prawdy i pracy dla dobra narodu, tylko w skutek, przesądów i uprzedzeń, wśród jakich wzrośli, zbaczają z jedynie zbawczej drogi, na której w dali, jak pięknie powiedział p. Kornel Ujejski, „bieli się promieniejąca szata Chrystusa!" Z ludźmi takimi, dobrej woli i szlachetnego serca, a przytem uwikłanymi w błędy, polemizuje się z spokojem i godnością. Polemika w tym wypadku, to wzniosła praca szukania prawdy, to koleżeńskie konferencye, to braterskie zespolone usiłowania, aby przyjść do zupełnej harmonii w zasadach i czynie.

Na polemiką taką zdobyć się może tylko umysł szlachetny, wyższy i delikatny. Szlachetny, bo pragnie skarbem, który z daru Bożego posiada podzielić się z bliźnim, a jeśli sam w czems zupełnej nie posiada pewności o prawdzie, szuka jej w zasobach wiadomości i doświadczenia drugiego; wyższy, bo aby módz polemizować z godnością, potrzeba koniecznie posiadać nie tylko dokładną znajomość prawdy, o której się rozprawia, ale nadto umieć rozwiać zarzuty i wątpliwości — i w takiem ją świetle przedstawić, iżby przeciwnik i czytelnik lub słuchacz poznać ją mogli; delikatnym, bo każdy podejmujący się polemiki ze spokojem dowodzi, że nie potępia z góry, nie napada, nie kopie przeciwnika, ani nim nie pogardza. Również i ten, który taką polemikę przyjmuje, daje dowody szlachetności, bo wówczas poznać, że prawda dla niego najwyższym ideałem, że nie upornie stoi przy swem zdaniu, ale szuka prawdziwego światła. Kto polemiki z godnością prowadzonej nie przyjmuje, albo się nią jątrzy, oczywiście sobie samemu *testimonium paupertatis* wydaje, gdyż i upór zdradza i wartości prawdy nie poznaje.

Ztąd pochodzi, że polemika, która między uczonymi i uczciwymi ludźmi w skutkach swoich jest arcyzbawienna, bo prowadzi do zjednoczenia i solidarności w zasadach i działaniu, tam gdzie „szkoła kłamstwa" systematycznie jest prowadzoną, staje się głosem wołającego na puszczy, i usiłowaniem szlachetnem, które tylko w obec sumienia i Bogu, i u pozostałej garstki miłośników prawdy ma wartość.

Lecz nie tylko polemika, ale i to co polemika ze sobą koniecznie i z natury rzeczy przynosi, to jest szerzenie i opowiadanie prawdy w obec „szkół kłamstwa" jest zupełnie bezowocnem — rzucaniem ziarna na opokę. Polemika bowiem zaprzeczając i zbijając fałsze, przez to samo zatwierdza i głosi prawdę (nie mówi bowiem po prosto tylko: „nie tak" — ale dodaje, dlaczego „nie tak") — Ale na cóż się to zdało, jeśli z góry przyjęto zasadę, niesłuchania żadnego wywodu, a trwania przy wyznawaniu i głoszeniu przyjętego fałszu. Któryż budowniczy może tam coś zbudować, gdzie rumowiska nie uprzątną ci do których to należy?

Że także „szkoły kłamstwa" u nas istnieją — to niestety jest smutnym, nader smutnym faktem.

„Szkoła kłamstwa" ma swoją główną siedzibę we Lwowie i w Warszawie. W Warszawie prowadzą ją ludzie wyznający i szerzący zasady najskrajniejszego realizmu, a prowadzą pod opieką cenzury moskiewskiej, która o tyle jest dla nich względniejszą, o ile jest surową i nieubłaganą dla pism, które w ciasnych jej kleszczach bronić usiłują interesu narodowego i religijnego. We Lwowie „szkoła kłamstwa" ma dwa główne biura, z których jedno otwarcie fabrykacyą fałszu prowadzi, drugie wyroby swoje stampilą wiary i religijności znaczy. Że mimo tej zewnętrznej różnicy, wewnętrzna wartość ich produktów ta sama, poznać to można z następujących ich zasad:

1. Prawych katolików piętnuje się zawsze jako przeciwników narodowej pracy, i ludzi wyrzekających się dla nieba ziemskiej ojczyzny — nie dawszy, rozumie się, żadnego na to dowodu.

2. Napadając więcej jak niegrzecznie wszystkie instytucye, zaczepiając wszystkie zasady wiary, zabrania się katolikom „dla miłości i grzeczności" bronić zaatakowanych stanowisk, a jeśli to robią piętnuje się ich jako ludzi cierpiących na „świerzbiączkę polemiczną" bez względu, na to czy ta, czy ta polemika jest ostrą czy spokojną i sumienną.

3. Powtarza się bezustannie kłamstwa i fałsze, sto i tysiąc razy zbijane i i nigdy się ich nie odwołuje i nie prostuje „dla honoru."

4. O wszystkiem, co wychodzi z pod pióra uczciwszego i prawdę miłującego, milczy się uroczyście, aby, broń Boże, świat się nie dowiedział o prawdzie.

5 Pisze się o wszystkiem z stanowczością wyroczni, a ktokolwiek śmie się sprzeciwić wypowiedzianemu zdaniu, ten *ipso facto* odsądzony od czci i wiary.

6 Wszyscy, którzy nie zgadzają się z sadami i dążnościami „szkoły" — to nowicyusze, i ludzie którym brak nauki, wykształcenia i dobrego wychowania

Prawdziwie powiedzieć można słowami przytoczonego już raz wieszcza:

Wie że kłamie, a wciąż kłamie:
Obłuda jej znamię.

Gdzie takie „szkoły kłamstwa" liczą uczniów na setki i tysiące, tam powołanie dziennikarza katolickiego jest niezmiernie trudnem. Potrzeba nietylko poświęcenia prawdziwie chrześciańskiego, aby pracować i nie zrażać się, ale nadto potrzeba prawdziwego zaparcia, aby czoło stawić nie-

uczciwości mistrzów takiej szkoły i obojętności ogółu. Potrzeba też wielkiej wiary — którą dać może tylko to słowo Chrystusa: „A prawda was wyswobodzi.“ *Veritas liberabit vos.*

Wiara, Nadzieja i Miłość.

POWIEŚĆ Z EPOKI TERRORYZMU

z angielskiego tłumaczył X. . . . .

(Ciąg dalszy)

Rozdział XI.

Wymuszone przyrzeczenie.

Robespierre siedział samotny w swej komnacie. Na jego trupio-bladej, wychudłej twarzy malował się wyraz właściwej mu przezorności. Wyglądał on jak cień powracający z zagrobowego świata. Jakże straszną musiała być samotność tego człowieka, którego nieubłagany despotyzm rozsiewał postrach do koła siebie, a który w obec trybunału sumienia czuł się przecież złoczyńcą, któremu równego nie przytaczają dzieje.

W skłonnościach, zwyczajach, i charakterze Robespierra niedostrzegłeś ani cienia ludzkości. Byłto kot-tygrys jednoczący w sobie: srogość, zemstę, samolubstwo i chytrość. Jego żądza krwi raz podniecona, nie znała granic, bez względu na to, czy upatrzoną ofiarą był przyjaciel czy wróg.

Siedział on przy biórku, zajęty podpisywaniem wyroków.

Przebóg! ów straszny obraz spustoszenia, jaki przedstawiała ówczesna Francja, był dziełem jednego pociągnięcia pióra Robespierra. Ileż to głów najzacniejszych obywateli zleciało pod nożem gilotyny, wskutek jednego takiego podpisu. I dziś dwadzieścia nowych wyroków śmierci czekało na ostateczną sankcyę despoty.

Naraz zatrzymał złowieszcze pióro, a odkładając je na bok, mruczał do siebie: „czy nie rozsądniej byłoby zagarnąć pieniądze tego człowieka? Na jutro niezbędnie potrzebną mi jest znaczna kwota, którą mieć muszę. Bo też moi Jakobini szalenie drogo mię kosztują; a Czarny Henryk, to nienasycone gardło, bezustannie woła o nowe pieniądze. Lecz trudna rada: bez tego człowieka obejść się nie mogę.“ Porwał za obok stojący dzwonek, potrząsł nim, a na dany znak, ukazała się we drzwiach młoda i urodziwa kobieta: byłato hrabina „*“. Przed niespełna trzema miesiącami, mąż jej wskutek wyroku Robespierra, skonał w objęciach gilotyny: a dziś jego ukochana małżonka pełni obowiązki pokojowej, w domu oprawcy swego męża. Nie była ona jedyną, która w podobny sposób poświęciła wszystko za cenę uratowania życia!

— Nie ma nikogo? — zapytał Robespierre swym przenikliwym głosem.

— Piotr i de Manuel czekają w przedsionku — odpowiedziała zagadnięta.

— Zawołaj mi Piotra; d *propos* — wstrzymaj się jeszcze na chwilę obywatelko: znalazłem zatrudnienie dla ciebie; ta karta pouczy cię o twoim nowym urzędzie.

— Czy mogę już odejść?

— Możesz — odparł tyran lakonicznie, mierząc przeszywającym wzrokiem przestraszoną kobietę.

Miał on bowiem podejrzenie, że każdy ktokolwiek zbliżał się do jego osoby, przychodzi z ukrytą bronią w zanadrzu. Od czasu ścięcia Marata, każdy członek Konwencyi drżał o własne życie, nie będąc pewnym jutra; przedewszystkiem miano się na baczności przed kobietami, z którymi musiano częściej obcować.

— Niech wejdzie Piotr — przemówił Robespierre uprzejmie.

Po chwili ukazał się Piotr. Byłato barczysta postać o gburowatych ruchach i dzikiem, wstręt obudzającem wejrzeniu. Na jego sino-karmazynowem obliczu, wyryło obydne ślady życie pieniacze. W stanie trzeźwości, dał on się użyć jako powolne narzędzie do każdej niegodziwości: trudno jednakże było utrzymać go w tym stanie. Z pomiędzy Jakobinów, był on pierwszym ulubieńcem Czarnego Henryka, który w nim cenił te właśnie przymioty, dla których każdy inny z pogardą odepchnąłby go od siebie.

Takim był Piotr. Czarny Henryk, przyjmując go przed kilku miesiącami do służby, w tych słowach zalecał jego przymioty w obec prezydenta, „że będąc trzeźwym, jest on stanie podjąć się najtrudniejszej sprawy — a w stanie pijanym nie zdradzi żadnej powierzonej mu tajemnicy“.

— Uwięziłeś obywatela Benimena? — zapytał Robespierre zmierzywszy badawczym okiem od stóp do głowy stojącego przed nim obdartusa.

— Nie inaczej — odrzekł Piotr.

— W którem byłoto miejscu?

— Na rogu ulicy St...

— Spotkałeś go samego?

— Nie.

— Któż był z nim?

— Obywatel Łazarz.

— Obywatel Łazarz? — cedził słowo za słowem Robespierre przywołując sobie na pamięć wymienione nazwisko — kto on jest?

— Bogaty żyd, kupiec i przyjaciel od serca Benimena.

— A — przypominam sobie już teraz. Wiesz gdzie mieszka? —

— Wiem.

— Dokąd odprowadziłeś obywatela Benimena?

— Do więzienia *l'Egalité*.

— Nie wiadomo ci ile tam więźniów umieszczono?

— Będzie ich tam do dwieście siedmdziesiąt z górą.

Robespierre milczał, po bladem jego obliczu przemknął się wyraz zasępienia.

— Do jakiej kategoryi ludzi, sądzisz, należą mieszkańcy tego więzienia?

— Są to sami tacy obywatele, co popadli w niełaskę Konwencji, których jednakże nie uznano jeszcze godnymi gilotyny.

— Jak często zdarzają się wypadki uwolnienia z więzienia *l'Egalité*?

Twarz Piotra wykrzywiła się do szyderczego śmiechu.

— O czemś podobnem, nie słyszałem jeszcze; chyba że kogo przesiedlono do więzienia „*“.

— A z tamtąd, dokąd wiedzie droga?

Piotr wlepił zdziwiony wzrok w prezydenta, chcąc wyczytać z jego oblicza, do czegoby te jego pytania zmierzały; lecz nie zdołał przeniknąć do głębi duszy Robespierra.

— *Parbleu!* — wykrztusił wreszcie.

— Wstydź się, obywatelu, kląć tak obrzydliwie; jest to zwyczajem arystokratów.

— Z więzienia „*“ wiedzie droga wprost pod gilotynę.

— A z tamtąd?

— To chyba do piekła — zawołał Piotr zniecierpliwiony.

— Umiesz twoją lekcyę wybornie; teraz zaś naostrz twój słuch i uważaj, co ci powiem. Póki nie wykonasz rozkazu, o którym zaraz usłyszysz, usta twoje nie powinny się ani tknąć kieliszka. Wynajdziesz mi najprzód Abrahama Łazarza; wszedłszy z nim w rozmowę, powtórzysz mu cośmy mówili przed chwilą, pouczając go, że mu pozostaje jedyna droga: zdać się na łaskę i znaną dobroć prezydenta. Dodasz przy tej sposobności, że zamiarem obywatela Maksymiliana Robespierra jest, ratować swego przyjaciela. Rozumiesz?

— Czemu nie, — odpowiedział służalec z właściwym sobie lakonizmem.

— Muszę ich mieć obudwóch — mruczał Robespierre sam do siebie po wyjściu Jakobina, — inaczej nie mogę mieć pewności dostania pieniędzy. Piotr będzie mieć baczne oko na Łazarza,

a *Madame Marie*, (tak nazywał Robespierre hrabinę ***) zajmie się Izaakiem Benimen.

— Kto tam? — zawołał nagle Robespierre, chwytając gwałtownie za poręcz krzesła i drżąc na całem ciele jak osika.

Drzwi się rozwarły i *Madame Marie* ukazała się na progu.

Na jej obliczu malowało się oburzenie, oczy ciskały pioruny gniewu.

— Nie lękaj się mej obecności nikczemniku — zawołała z pogardą; — przychodzę w zamiarze prosić, a raczej rozkazać ci, abyś zmienił treść dokumentu, na mocy którego mam się stać podłem narzędziem do twych obydnych celów. Raczej umrę, aniżelibym miała przyjąć na siebie rolę szpiega — W tej mierze wypowiadam ci posłuszeństwo; — i rzuciła mu pod nogi pomięty papier.

— Powoli, powoli obywatelko; uczynisz, zaręczam ci, wszysko czego domagać się będę od ciebie, tylko racz mię wysłuchać cierpliwie.

I począł zniżonym głosem w tonie nader uprzejmym, uspokajać ją co do swych zamiarów względem Benimena.

— A jeżeli uczynię to, czy zostawisz przy życiu Izaaka i jego córkę? — zapytała *Madame Marie* surowo.

— To ci przyrzekam.

— Czyś gotów stwierdzić to przysięgą?

— Przecież ci wiadomo, obywatelko, że zwolennicy Republiki nie mają zwyczaju przysięgać.

— Więc wydaj rozporządzenie, wypuszczenia na wolność, w przeciągu dni ośmiu, Izaaka Benimena.

Robespierre zaśmiał się szyderczo; nie mówiąc ani słowa, napisał ukaz i wręczył go hrabinie.

— Jeszcze nie koniec. Żądam unieważnienia każdego wyroku śmierci, któryby w przeciągu tych dni ośmiu zapaść mógł przeciw Izaakowi lub jego córce.

Robespierre chwycił powtórnie za pióro i wystawił żądany dokument.

— Za godzinę będę gotową. — rzekła nieustraszona kobieta, zginając podane sobie papiery i chowając je w zanadrzu.

— Spodziewam się jednak, że życzeniu mojemu stanie się zadość

— Z wszelką pewnością możesz rachować na mnie: nim tydzień upłynie, będziesz mieć wiadomość o wszystkiem.

Po upływie półtora godziny, wnętrze więzienia l'Egalite rozwarło się na przyjęcie nowego mieszkańca: byłato *Madame Marie*, która weszła tam w celu szpiegowania wszystkich czynności i słów Izaaka Benimena.

Dozorca więzienia zażądał od niej, na wstępie, wydania wszelkich papierów jakieby miała przy sobie.

— Wszakże nie poważysz się żądać odemnie dokumentów z podpisem własnoręcznym Robespierra, — zapytała drżącym głosem hrabina.

Dozorca zaśmiał się na całe gardło i rzekł:

— Jesteś w błędzie, piękna obywatelko, nam musisz wydać nawet listy miłosne prezydenta.

Madame Marie opierała się jeszcze, żądając aby wykazano się upoważnieniem Robespierra; nie pomogło to jednak. Najmniejszy okrawek papieru znaleziony przy niej uległ konfiskacie. Przyprowadzono jakąś prostaczkę, która miała się poddać rewizyi: widząc więc że opór na nic się nie przyda, *Madame Marie* poddała się konieczności.

— Może zechcesz jeszcze papiloty zedrzeć mi z głowy? — zapytała z przekąsem, po skończonej rewizji.

— O bynajmniej — odpowiedziała niewiasta — w nich wyglądasz mniej arystokratycznie; a że nie mamy wcale zamiaru odcinać ci głowy, lepiej że i włosy w tym samym pozostaną stanie.

Po niejakim czasie, dozorca wrócił uwięzionej dwa dokumenty, które, jako opatrzone podpisem dyktatora, pozwolił jej zatrzymać przy sobie.

Na pierwszy rzut oka, odkryła *Madame Marie*, że to nie te same papiery, które dozorcy oddała; nie mówiąc jednak ani słowa, schowała takowe.

Po odejściu dozorcy zdziwiona zapytała sama siebie:

— Jak to być może, że się nie poznali na tem?

Rozdział. XII.

Więzienie l'Egalite.

Jakże złowieszczo i przygnębiająco wnika w duszę dźwięk tego słowa — więzienie. Być odgrodzonym od towarzystwa ludzkiego, pozbawionym widoku światła słonecznego, utracić wolność, ten najdroższy klejnot człowieka na ziemi. Każde więzienie napełnia nas trwogą; cóż dopiero mówić o więzieniach z czasów Rewolucyi francuzkiej? Zaiste trudno się zdobyć na odmalowanie podobnych okropności, jakie przedstawiały te przybytki nędzy.

Istne groby żyjących, w które powrzucano bez braku, młodych i starych, dobrych i złych. — Widziałeś tam największych zbrodniarzy, obok niewinnych dziewic; i odwrotnie: najszlachetniejszych synów Francyi, obok niewiast, wyrzutków społeczeństwa. Największą liczbę więźniów przedstawiali kapłani i zakonnice.

Więzienie do którego zaprowadzono Izaaka, należało do najstraszniejszych w Paryżu. Chociaż bowiem, według tego co utrzymywał Jakobin Robespierra, mieszkańcy onego nie byli przeznaczeni bezpośrednio pod nóż gilotyny, nie zmniejszało to jednak okropieństwa samejże kaźni. Znaczna liczba więźniów kończyła tam swój nędzny żywot: jedni umierali śmiercią głodową — drudzy w skutek ostatecznej rozpaczy — W tym strasznym lochu, Benimen stał się przedmiotem wzgardy i urągania. Wystarczało to, że był żydem, a do tego bogatym aby ściągnął na siebie całą nienawiść zdziczałej tłuszczy pospolitych zbrodniarzy.

Zaraz na samym wstępie do więzienia, poszturkiwano go, plwano nań miotając najsprośniejsze przekleństwa. Gdy dozorca rozdzielał między więźniów porcye nędznej strawy, wyrywano z rąk jego i tę lichą, przeznaczoną dlań odrobinę z tą szyderczą uwagą: że to potrawy zakazane mojżeszowym zakonem. Znużeni w końcu swem niegodziwem postępowaniem, zostawili w pokoju ofiarę swojej dzikości. Opłakany zaiste był stan Benimena. Wycieńczony brakiem pokarmu, cierpiąc w skutek odniesionych razów, dotyla opadł na siłach, że nie mogąc utrzymać się o własnej mocy, padł złamany na brudną posadzkę więzienia.

Biedna ofiaro! Czy w twem smutnem położeniu, nie znajdzie się dla ciebie miłosierny Samarytanin, który podałby ci dłoń bratnią; żadne serce nie zadrga miłością chrześcijańską, by przynieść ulgę zdeptanemu żydowi? Nie wątpmy o tem.

Gdy wśród ponurych murów więzienia, noc rospostarła swe cienie i ucichł gwar więziennej gawiedzi — jakaś smukła postać o czcigodnem wejrzeniu, zbliżyła się do miejsca, gdzie Benimen leżał bezwładny. Z iście macierzyńską troskliwością osoba owa podniósłszy osłabionego żyda, szeptała słowa pociechy do zbolałej duszy jego; miłosierną dłonią obmyła rany, krzepiąc winem spieczone gorączką usta.

Doznawszy tyle względów niezwykłej pieczołowitości, Benimen usiłował powstać, by złożyć dzięki nieznajomemu dobroczyńcy; ten jednakże, jakby mu niemiłe były słowa dziękczynienia, — przerwał mu mowę.

— Uspokój się przyjacielu, — ozwał się doń — przyniosę ci jeszcze nieco pokarmu i świeżej słomy.

Oddalił się. Po chwili wrócił, niosąc oburącz okłot słomy, którą rozścieliwszy do koła, przygotował znękanemu żydowi, jak mógł, wygodne posłanie — Było to jeszcze za twarde łoże dla tak schorzałych członków: to też rzucał się niespokojnie z jednego boku na drugi, nie mogąc przywołać snu. Widząc to nieznajomy opiekun jego, usiadł obok niego na słomianej pościeli, ujął głowę nieszczęśliwego i złożył na swoich kolanach. Izaak uspokoił się — a sen pokrzepiający skleił jego omdlałe powieki.

Dniało już, gdy się obudził. Zrazu owładnęło go uczucie trwogi, na widok miejsca, gdzie się znajdował i ludzi, od których

poprzedzającego dnia doznał tak dzikiego obejścia; rychło jednak ocuciła go myśl, że jakiś duch opiekuńczy roztacza nad nim swe skrzydła; spostrzegł też równocześnie, że spoczywa w objęciach dobroczynnego wybawcy swego. Obraz jaki roztaczał się przed jego oczyma, budził wstręt i obrzydzenie. Pokotem wzdłuż ściany, leżała w chaotycznym nieładzie owa rozbestwiona zgraja, która w tak niegodziwy sposób znęcała się nad nim dnia wczorajszego. — Na każdej twarzy malował się wyraz zwierzęcej namiętności.

Pomimo że pogrążeni w głębokim śnie, — jedni miotali sprośne bluźnierstwa, drudzy zaciskali pięście, bełkocząc ledwie zrozumiałe przekleństwa.

Benimen odwracając pomięszany wzrok od tego widowiska, zapytał swego dobroczyńcy.

— Czy to ludzie, którzy nas otaczają? W imię Boga Abrahama, powiedz mi, ty mój aniele opiekuńczy, czy to sen czy rzeczywistość? Jak ja dostałem się w towarzystwo takich potworów? Oni mię zamordują, — bo musisz wiedzieć, że jestem — żydem.

— Bądź spokojny mój bracie: nic ci się złego nie stanie. Chociaż to ludzie nieokrzesani, okrutni, — są od nich stokroć gorsi jeszcze.

— Alež to oni omal że nie zakatowali mnie wczoraj.

— To prawda, niegodziwie obeszli się z tobą; lecz nie upadaj na duchu. Przed ośmnastu miesiącami, odkąd zamknięty jestem w tym grobie, i mnie spotkało to samo nieszczęście. Po otrzymanych razach przez trzy dni nie mogłem przyjść do siebie; dziś jednakże żaden z tych ludzi nie poważyłby się tknąć ani włosa mej głowy.

— Jakiegoż sposobu użyłeś, by utrzymać w karbach te niesforne, dzikie żywioły? — zapytał Benimen rozciekawiony.

Towarzysz jego uśmiechnął się na to, nie odpowiadając ani słowa.

Benimen chwycił dłoń jego, a ściskając ją z uczuciem wdzięczności zawołał:

— Jakże wdzięcznym ci jestem, mój panie, za twą dobroć i szlachetność, której błogich skutków doznałem na sobie. Tobie winien jestem me życie. Pozwól, że się ośmielę prosić cię jeszcze o radę, jak się mam w obec tych ludzi zachować.

Skoro bowiem ockną się, zamordują mnie pewnie. Nie drżę podłą bojaźnią na widok śmierci; — lecz chodzi mi o ukochane me dziecię, moją córkę Rebekę.

— Nie lękaj się: jak długo ja jestem u twego boku, nie poważy się nikt zbliżyć się do ciebie; a tajemnicą podbijania serc nieprzyjaciół jest: odpłacać dobrem za złe.

W tej chwili rozległ się szmer ogólny: przebudzeni więźniowie poczęli podnosić się z nędznych posłań swoich. W dzikich podskokach otoczyli dozorcę, który o tej porze przynosił zwykłe jedzenie.

Towarzysz Benimena, przyniósł mu jego porcyę, co uczyniwszy, wrócił po swoją. W tym czasie jakiś niegodziwiec przyskoczył do Izaaka, i wyrwał mu z rąk przeznaczoną dlań cząstkę. Byłby nie oddał, gdyby tymczasem nie powrócił sędziwy starzec, obrońca Benimena, który widząc o co chodzi, swój własny chleb oddał przelęknionemu żydowi. Ten czyn poważanego przez więźniów kapłana, rozbroił rabusia: zbliżył się, oddał zdobycz, i nieśmiałym wzrokiem zdawał się błagać o przebaczenie. (C. d. n.)

MOWA

P. KORNELA UJEJSKIEGO

powiedziana na dniu 28. listopadu we Lwowie.

Podajemy znakomitą mowę autora „Trenów Jeremiego", którą nam łaskawie udzielono wedle zapisków stenograficznych jednego ze słuchaczy:

Ten, którego rocznicę śmierci z pochwały godną uroczystością od lat wielu obchodzicie, kochał przedewszystkiem prawdę, żył dla niej, wypowiadał ją głośno, z odwagą i co zatem idzie, cierpiał za nią a cierpiał przeważnie — od własnych. Kiedy w bardzo młodym wieku, popchnięty nieprzezwyciężoną siłą znalazłem się w pobliżu naszego wielkiego Adama, ludzie znakomitych imion, urzędowi reprezentanci powstania r. 31, mówili mi o nim: To waryat! Wiem zkądinąd, że w pierwszych latach emigracyi, kiedy Adam zaczął brać udział w wewnętrznych jej walkach i robotach, odbierał on nieraz anonimowe polskie listy szkalowań pełne; w jednym z nich znajdował się sznurek. I była chwila — tylko chwila, bo Adam mógł i umiał wznosić się ponad powszednie przemijające gwary świata — ale była chwila, w której ten wielki, czysty duch zapragnął tylko ciszy i zapomnienia i chodził z myślą, czy wstąpić do klasztoru, czy odebrać sobie życie. Zgroza! — powiecie, tak, to zgroza, ale zwyczajna i powtarzająca się od wieków. Proroków, ludzi ducha zawsze kamionują, potem stawiają im posągi i głoszą, że byli zaszczytem dla ludzkości. A jaka przyczyna tych przeciwieństw? Oto to, że ludzie ducha podnosząc się w nim własną, wewnętrzną pracą zanadto kochają i czczą raz zdobyte dla siebie prawdy, nie lubią ich przemycać, raczej wolą je stawiać otwarcie, stanowczo; szorstko, — nieraz brutalnie szorstko. Nie pochlebiają oni nikomu, nie dbają o popularność, o tę zdawkową monetę sławy, narażają sobie mnóstwo ludzi, i bywają posądzeni o niepomierną dumę, nawet o pychę. Zwykle na to nie zasługują. Pokorni oni są w obec Boga, w obec ojczyzny i tych ojców, co jej dali chwałę; że nie są takimi wobec żyjącego ogółu, tego im ogół nie przebacza, a nie mogąc ich dosięgnąć — poniża. Mają słońca swoje promienie — i robaczek świętojański ma także swoje własne światło. Mam i ja moje prawdy, które zdobyłem w boleściach mego ducha; a takie, które mi się wydają potrzebne na dzisiaj, są te: że naród to zbiorowy człowiek i tym samym podlega moralnym prawom, jak pojedynczy człowiek; że każde nieszczęście, każde złe, ma swoje źródło w poprzedzającem złem; że grzech nienaprawiony, nie odkupiony rośnie i wzmaga się przez potęgi matematyczne, i że dość już było w nas skarg i narzekań na Boga, na losy, na naszych wrogów, bo wina była w nas i dlatego podnieść się nie możemy. — Jak one prawdy, tak ciebie kocham młodzieży polska, bo w każdem twojem dorastającem pokoleniu, zdaje mi się, że widzę lepszą przyszłość mego narodu; kocham was moi drodzy, więc powiem to, czem przepełniona dusza moja.

Jesteście dziećmi zwątpienia; nie wasza w tem wina, ono od lat kilkunastu otacza was jak powietrze, i zatruliście się jego oddychaniem. *Zwątpiali, szukacie nowych dróg, a te drogi już znane i okazały się błędnemi. Jest jedna tylko droga, po niej szedł nasz naród w złotej epoce świetności swojej; droga ta zaniedbana, opuszczona, trawą zwątpiałych zarośnięta ... Gdzieś w jej oddali świeci biała szata promieniejącego Chrystusa!... idzie, prawie samotny.* — Oto jedyna droga dla wszystkich upadłych i cierpiących. Podnieście i rozwińcie sztandar polski opuszczony, i wróćcie na tę drogę, jeśli wam miła ojczyzna i jej zbawienie!

Żyjemy w strasznych czasach. *Kto mówi Bóg, tego posądzają o klerykalizm; kto mówi duch, o tym prawią, że to mistyk, sekciarz lub wizyoner; kto wykrzyknie ojczyzna! ten już marzy o nowem powstaniu.* Trafiło się to i mnie, a ja byłem i jestem tylko szczerym Polakiem.

Wypowiedziałem prawie nawiasowo trzy słowa, a teraz czuję, że jest w nich wielkie zasadnicze dla Polski znaczenie: „Bóg — duch — ojczyzna"! Ach! gdyby jedno młode pokolenie zechciało wpisać te trzy słowa nie tylko na swojej chorągwi, ale i w sercach swoich — byłaby Polska! I nie ta wyżebrana dyplomatycznemi sztukami, nie ta, któraby mogła stać się jednym więcej fałszywym dźwiękiem w orkiestrze świata, ale ta ocalona własną siłą i wolą, ta prowadzicielka całej orkiestry, strojąca ją do swego wysokiego tonu, podnosząca ją — z piętra na piętro, coraz wyżej, coraz jaśniej aż do stóp niezbadanego Stwórcy — i tam dyrygowałaby wiecznym hymnem na cześć jego! Nie mówiąc już o tych duszach, gdzie jest wypisany jeden tylko wyraz: ja — rozważmy, ile jest takich serc, w których znajdują się wszystkie one trzy słowa. Ja, sądzę że bardzo nie wiele i przeważnie stoimy tak: ***W sercach, gdzie jest Bóg niema słowa: ojczyzna — tam gdzie ojczyzna niema Boga — a tam gdzie Bóg i ojczyzna, tam niema ducha tj. niema ożywienia***, i w tem nasza nędza, grzech i potępienie — i dlatego niema Polski! I jeżeli lepiej między nami nie będzie, to jej nie będzie.

Młodość, to szczerość! Czyż ja mógłbym was podejrzywać o nieszczerość? czyż miałbym prawo zapytać was, was do których uszu dochodzą tak często reguły dzisiejszych postępowców, że poezya jest głupstwem, jest, co najwięcej marnym pięknym dźwiękiem, że w szczególności dla nas poeci są szkodliwi, że ideały nie są dla ludzkości jej skrzydłami, ale są zawadą, kamieniami rozrzuconymi na drodze jej życia... czy miałbym prawo was

nastrajają poważnie, stosownie do treści jaką przynoszą, przedewszystkiem jednak należą one obecnie do warunków życia, bo zaspakajają wiecznie w nas żywą i nigdy nie zamierającą ciekawość. Nie mówimy tego, żebyśmy byli przeciwni codziennym pismom — owszem doznawszy powodzenia w dotychczasowych wydawnictwach, to, za czem wzdychamy i o co Boga prosimy jest właśnie: módz kiedyś założyć pismo codzienne. Atoli w warunkach obecnych sądzimy, że jak my z naszego pragnienia ofiarę złożyć musimy, tak i katolicy, a przedewszystkiem duchowni w wyborze pism, ciekawość w cnotę świętej roztropności zamienić, bodaj częściowo powinni.

Pismo codzienne jest zajmującem, ciekawem — i zabawnem niekiedy, ale jeśli ono obok tych dobrych rzeczy karmić mię chce i fałszem, jeśli uderza na to, co mi jest najdroższem: Kościół i wiarę — tedy wolę się wyrzec przyjemności, jak popierać takie pisma; tembardziej, że prenumerowanie pism tego rodzaju, zaliczyć potrzeba do tego z 9 grzechów cudzych, który mówi: *do grzechu pomagać*. Naturalnie, że są wyjątki i niekiedy może być konieczność trzymania i takich pism; ale nie zawsze i we wszystkich pismach. Razu pewnego oddano nam przez pomyłkę reklamacyą o numer do redakcyi *Szczutka*: było to reklamacya księdza, który jakeśmy sprawdzili, nie trzymał żadnych pism katolickich. Któryż ksiądz może mieć potrzebę opłacania takiego pisma? A za 10 złr. wydawanych na to pismo, można mieć wszystkie prawie katolickie pisma, w których znajdują się wszystkie wiadomości ze świata, choć nieco później.

Słyszeliśmy nieraz rachunki, ile to pisma peryodyczne-katolickie rocznie kosztują. Kosztują to prawda — ale w tej sprawie trzeba podobno z wysoka się zapatrywać, i mieć to na względzie że prenumerując, nietylko osobiste zaspakaja się potrzeby, ale robi się oraz *ofiarę na rzecz wspólnej a wszystkim nam drogiej sprawy Kościoła*. Ofiara zaś nie jest ofiarą, jeśli nie *boli*. Jest też jeden środek bardzo łatwy do zniżenia cen pism peryodycznych, a tym jest werbowanie licznych prenumeratorów. *Die Menge macht's* mówią Niemcy. Gdyby jak w Niemczech, we Francyi i gdzieindziej można liczyć na tysiące odbiorców, z pewnością też i ceny pism mogłyby być znacznie niższe. Ośmielamy się tedy prosić naszych przyjaciół, aby każdy starał się o pozyskanie jednego tylko prenumeratora, a za rok pismo nasze tańszem będzie. Takie werbowanie dla katolickich pism jest tem potrzebniejsze, że one nie mogą tak jak inne liczyć na reklamę gazet. Liberalne pisma wzajemnie się adorują i jedno drugie popiera — o katolickich wszystkie te pisma milczą. — więc rozszerzenie tych pism jedynie zależy od gorliwości czytelników. Pismo też początkujące, a przytem obliczone na to, aby rozbudzić ducha, aby nietylko pisać, ale ożywiać i pobudzać do czynu, zasługuje na tem większe poparcie. Przewielebni XX. Dziekanie najwięcej w tej mierze zdziałać mogą przez zachętę i radę, a i każdy z osobna żyje z sąsiadami i innemi ludźmi, i tysiąc ma sposobności, byleby zechciał o sprawie pamiętać.

Co do *Piastu*, wieleby na tem zależało, aby więcej jak dotychczas świeckich ludzi go czytało, jako *antidotum* na pisma, któremi codziennie się karmią. Owoż polecanie go patronom, nauczycielom wiejskim, znajomym ludziom dobrej woli, będzie nietylko wspieraniem redakcyi, ale oraz spełnieniem najłatwiejszem i najdelikatniejszem obowiązku przeciwdziałania zgubnym wpływom, przez pisma liberalne wywieranym

* *

Często bardzo w konferencyach naszych przyjdzie nam poruszyć sprawę oświaty ludu wiejskiego. Zamierem nawet naszym jest po zwiedzeniu W. ks. Poznańskiego i po przypatrzeniu się tamże w jaki sposób urządzone są kółka włościańskie, mające na celu podniesienie gospodarstw wiejskich, wszystkie siły nasze ku temu skierować, aby u nas pracy nad ludem nadać stały, wybitny kierunek. Zamawiając sobie tedy naprzód poparcie PP. Duchowieństwa, dziś zwracamy uwagę na środek pewny i skuteczny oświaty, t. j. na pisma ludowe. Wieśniacy nasi chętnie czytają, o tem wiedzą wszyscy kapłani — a wyjątki w tej mierze są rzadkie. Lecz czytanie aby prowadziło do dojrzałości i ocucenia samowiedzy w ludzie, nie może być bezmyślnem czytaniem czegobądź, byle tylko czytać. — Pisma nasza ludowe nie małą położyły zasługę, rozbudziwszy w ludzie chęć czytania, ale może nie bez słuszności powiedzieć można, że nie miały programu, ani stałej wytkniętej myśli, a zwłaszcza w politycznym kierunku. Pisma wielkopolskie daleko wyżej w tym względzie stoją od naszych. Myśmy wprawdzie w *Wieńcu* i *Pszczółce* od Nowego roku poszli za wzorem pism wielkopolskich, ale sobie nie pochlebiamy, żebyśmy je już doścignęli. Pisemka nasze mają wprawdzie program stały, ale nie jedna jeszcze część z osobna wzięta, potrzebuje wydoskonalenia. Czujemy to dobrze i radzibyśmy ulepszyć, ale do tego potrzeba zasobów, w które walcząc dotąd prawie bez żadnej innej pomocy z trudnościami, nie obfitujemy wcale.

Wiemy też z praktyki, że tam lud prenumeruje, i to licznie, gdzie do tego zachęcają go duszpasterze. Do nich więc znowu — i do naszych czytelników z tą samą zwracamy się prośbą, aby pisemka te ludowi polecali. Wielu z kapłanów powiada, iż mamy *Chatę*. *Chata* ma zasługi, i wielkie za sobą, ale *Chata* jest zupełnie czem innem jak *Wieniec* i *Pszczółka*. Pisma te wyprowadzają z chaty na wielki świat Boży, na pole polityczne, domowe i zagraniczne, a w ten sposób z *Chatą* razem się uzupełniają. Ludowi naszemu trzeba już po mleku pożywniejszej strawy, a że ją chciwie chwyta, tego najlepiej dowodzi wzrost tych pisemek w przeciągu jednego roku taki, do jakiego pisma inne zaledwie po kilku latach doszły. Tylko wspólnemi siłami działając, dójdziemy do wielkiego celu, jakim jest podniesienie moralne i materyalne naszego złotych serc ludu!

* * *

Piszemy dziś zanadto może jak *Cicero pro domo sua*. Ale jest to grzech każdej redakcyi przy końcu roku. Bóg widzi, i bezstronni tak samo zapewne z czynów i pism naszych osądzą, że prócz chwały Bożej i dobra ojczyzny, nie mamy i nie chcemy nic innego mieć na celu. Wiemy też, że dla siebie zasiewamy nowe ciernie, zanim jeszcze stare wyjęte zostały, ale powtórzymy z Apostołem: *„Nihil horum vereor, nec facio animam meam pretiosorem quam me, dummodo consumem cursum meum.* Ale za nic sobie tego nie ważę i zdrowia mego drożej sobie nie szacuję, jako mnie samego, bym tylko dokończył biegu mego"

Przegląd dziennikarstwa

galicyjskiego i zagranicznego

Stało się — cztery pisma liberalne, które z początku ze sobą sympatyzowały — teraz de facto na dwa się podzieliły obozy, każdy przez jednego i tego samego dowódzcę komenderowane *Gaz. Nar.* i *Ruch* pod wodzem p. Agatonem Gillerem, *Dziennik polski* i *Tydzień* pod rozkazami p. Józefa Rogosza — tak więc te cztery pisma dwa przedstawiają kierunki; na polu politycznem przez *Gazetę* i *Dziennik*, na polu literacko-naukowem przez *Ruch* i *Tydzień* reprezentowane.

Dziennik i *Tydzień* jakkolwiek skrajniejsze, tę mają zaletę, że występują z otwartą przyłbicą, i kto jest człowiekiem zasad zaraz wie, z kim ma do czynienia. *Gaz. Nar.* i *Ruch* pozując na powagę, umiarkowanie, erudycyą, a nawet katolicyzm, tem są niebezpieczniejsze, że jak już raz powiedzieliśmy, trzeba być bardzo przezornym, aby się nie dać obałamucić.

Gaz. Nar, nie mogąc nic jasnego i pewnego zarzucić t. zw. ultramontanom, napada ich majakiem, umieszczając

zapytać, w jakim celu obchodzicie co roku uroczystość poświęconą pamięci Adama? Czy to ma być jedno więcej tych zgromadzeń, tych obchodów, tych widowisk, na które Lwów od dawna jest łakomy i gdzie jest nieraz tłum i zgiełk i są piękne mowy, a mało jest ducha?

Nie! Bo ja wiem, że wy tym obchodem powtarzającym się rok rocznie na cześć największego z naszych wieszczów, że wy mnie poetę zapraszając dość często do głosu, że wy chcecie tem odpierać i bronić się przeciw szkodliwym prądom, które was zewnątrz otaczają a porwać pragną. Dusze wasze młode, szlachetne, niezepsute czują instynktowo, że bez poezyi i bez ideałów nie ma trwałego, cnotliwego życia, ani dla człowieka ani dla narodów, że my Polacy odarci z ojczyzny, tej państwowej naszej powłoki, my naród podbity o tyle jesteśmy coś warci, o ile wykazać możemy wewnętrzną wartość naszego ducha. Niechże ta nagość nasza błyska klasyczną pięknością..............

Jak powiedziałem, podnieśliście broń odporną, niech wam ją Bóg błogosławi, a niech ją błogosławi po dwakroć, jeżeli ją zamienicie na broń czynną. — O gdyby wam do tej zamiany zabrakło sił, o to czerpcie otuchę i siłę *przy tem Zniczu, przy tem ognisku płynącem dotąd w czystości swojej, a które daje nam wiarę, że jeszcze nie zginęliśmy*; czerpcie ją u nóg naszych matek, u serc sióstr naszych, u tych kapłanek ojczyzny, u tych niewiast polskich, których część widzę nad nami zgromadzoną, a które patrzą na nas i błyszczą jak kwiat nad łodygą, jak promyk na czole geniusza narodu.

Lecz! ale miłość moja dla was, każe mi zejść na ścieżki praktycznej dla was rady. — Oby ona stała się streszczeniem, aby była płodnem ziarnem całego mego przemówienia, „Razem młodzi przyjaciele" W imieniu Adama raz jeszcze powtarzam już te kilkakrotnie wypowiedziane słowa jego.

Brak wam solidarności, brak serdecznego koleżeństwa. Nie zastąpią go żadne „bratnie pomocy." Jesteście ostygli, nieufni między sobą, za mało macie ruchu, bo mało macie ciepła w sobie. I w ten nie wasza wina. Wszakże uformowało się u nas całe stronnictwo co ma sobie za *obowiązek i zasługę oblewać was ciągle zimną wodą i gasić każdy gorętszy, choćby najszlachetniejszy objaw waszego młodego życia.* Odrzućcie precz tych opiekunów, którzy wam odbierają młodość i rozbijają was. — W złem czy dobrem „Razem młodzi przyjaciele" stójcie zwarci w jednym szeregu, zwarci pracą, miłością, nadzieją. Stać w szeregu to rzecz święta naszego obowiązku, stać w szeregu, aby mieć żołnierskie „czucie" na prawo i na lewo — stać w szeregu jakby z nabitą bronią, choćbyśmy długo badrzo długo czekać musieli......

Takich słów prawdy, wypowiedzianych tak pięknie i przy tak uroczystej chwili, potrzeba nam dziś bardzo. Pan Kornel Ujejski mówił prawdziwie z natchnienia, ocenił położenie rzeczy w naszym kraju bardzo trafnie. Tylko nimbus wieszcza osłonił go przed pociskami i sprawił, że mowę tę powtórzyły dzienniki liberalne. Cała bowiem pierwsza część tej mowy, to wyrok śmierci na liberalne pisma i liberalne drogi. „Gdzie słowo ojczyzna, tam niema Boga" — jakże to silne, trafne i prawdziwe! Te definicya naszych liberałów. Nie mniej i to: „Gdzie jest Bóg i ojczyzna, tam nie ma ducha" chociaż o stronnictwie do którego należymy, powiedziane, słuszne i prawdziwe, bo rzeczywiście mało w nas ruchu, życia i działania. „Gdzie jest Bóg, tam niema ojczyzny" to o ludzie naszym również prawdziwe, ale łatwiejby było do poprawy, gdy w nas był duch i ożywienie, a w stronnictwie liberalnem gdyby był Bóg i i miłość prawdy.

Druga część mowy zwrócona do młodzieży zasługiwałaby, aby ją wyryto na marmurze i zawieszono w lokalach „Czytelni" i „Bratnich pomocy" naszej uniwersitetskiej młodzi. Bo rzeczywiście stowarzyszenia te mające łączyć, służą jakby do przedwstępnych ćwiczeń w rozbijaniu się na stronnictwa.

Jedno jedynie tylko w mowie naszego wieszcza nie pojmujemy, mianowicie o kim myślał mówiąc, że jest stowarzyszenie które oblewa zimną wodą młodzież? My wiemy, że i mowa jego mimo całego swego polotu ochładzająco podziałała na młodzież.

KONFERENCYE POUFNE.

Pod powyższym tytułem otwieramy nowy dział w *Piaście*, którego zadaniem będzie wymiana myśli pomiędzy redakcyą a czytelnikami i przyjaciółmi w rzeczach poufnych, które rozprawy i wyświecenia nie potrzebują, a które jednak poruszyć potrzeba. Będziemy się też starali w konferencyach zamieszczać odpowiedzi redakcyi na uwagi i rady przyjacielskie uprzejmie nam udzielane. Miłoby nam też było, gdyby szanowni czytelnicy ze swej strony udzielali nam uwag, którebyśmy w tym dziale umieszczać mogli.

* * *

Pierwsza rzecz, o której wspomnieć nam wypada, to pielgrzymka narodowa do Rzymu w przyszłym roku. Zapytują nas, czemu tak wcześnie ją zapowiedziano? Odpowiadamy, że dlatego, bo u nas wszystko tylko powoli a z trudnością da się uskutecznić, a więc zawczasu trzeba się zabierać do dzieła. Chodzi też o to, aby mieć czas do zebrania ofiar na podróż Unitów do Rzymu. Ponieważ zaś tyle jeszcze jest czasu, przeto też komitet, w którym współudział nam przyrzekli ze wszech miar zacni i znani w kraju świeccy i duchowni ludzie, rozpocznie czynności swoje dopiero w styczniu lub lutym, tymczasem zaś trzy redakcye katolickie we Lwowie: *Przeglądu lwowskiego*, *Wiadomości kościelnych* i *Piasta* zbierają, t. j. zapisują już teraz ochotników do pielgrzymki i ofiary na opędzenie kosztów podróży dla naszych włościan. Prosimy tedy, ażeby mający zamiar wziąść udział w pielgrzymce narodowej, zgłaszać się zechcieli do wyż wymienionych redakcyj. — Imiona przyszłych pątników ogłaszane będą. Zaliczki zaś na koszta podróży obecnie się nie przyjmuje, aż po odezwie komitetu, natomiast usilnie się prosi o składki na Świętopietrze, i na podróż Unitów.

Śmiemy też zwrócić się z prośbą do Przewielebnych duszpasterzy, aby teraz zaraz, korzystając z nadchodzących świąt i innych uroczystości, o pielgrzymce narodowej do Rzymu wspomnieli swoim parafianom, i w wymienionych celach składki pomiędzy nimi zbierali. Takie datki po groszu, jak przed Bogiem najczęściej więcej zasługi mają, aniżeli złoto bogaczów, tak też i materyalne więcej znaczą, jak pojedyncze hojne ofiary.

Od dzisiejszego przeto numeru rozpoczynamy spis pątników i ofiarodawców.

Pątnicy do Rzymu.

X. Zygmunt Odelgiewicz ze Lwowa.
X. Ludwik Zieliński z Rozdołu.
X. Udalryk Żyborski z Jabłonowa.
P. Włodzimierz W... z Krakowa.
P. Jan Lipiński ze Stryja.
Anastazya Grocholska z Tarnopola.

Trzech włościan, którzy część kosztów podróży ponieść się podejmują.

Składki.

Imię i nazwisko	Świętopietrze	Podróż Unit.
X. Stanisław Stojałowski	2 zł.	3 zł.
Stanisław Drożdziewicz	— 36 ct	—
Wojciech Klocek	25 „	25 ct.
Jędrzej Mularz	—	30 „

* * *

Z nowym Rokiem każdy reguluje swe życie i wydatki, myśli też o pismach peryodycznych, które ma prenumerować. Pierwszeństwo mają przed innemi pisma codzienne. Stały się one potrzebą naszego życia; zapełniają nasze codzienne wolne godziny, obznajamiają nas z całym światem, rozweselają lub

artykuły, na pozór głęboko uczone, polityczno-psychiczne, w których — we mglistych, nie jasnych i ogólnikowych frazesach, i w historiozoficznych poglądach uderza na obóz ultramontański. Mamy tu na myśli artykuł pod szumnym tytułem: „Z Poznańskiego. — Patalogia naszego społeczeństwa“ — który się ciągnie przez dwa kolosalne feuilletony w nrze 275 i 276 z 1. i 2. grudnia b. r. Autor rzeczonego artykułu mimowolnie znakomite ułożył *qui pro quo* — chcąc pisać patalogią społeczeństwa *poznańskiego*, napisał wyborną patalogią liberalnego obozu, i zgromadził w tym artykule wszystko, co wskazuje objawy i przyczyny słabości, niedołęstwa i złej woli liberałów.

Będziemy się starali o ile można najdokładniej i najwierniej podać treść tych artykułów:

Autor dzieli swą pracę na trzy części. Po wstępie okolicznościowym wziętym ze sprawy wschodniej w pierwszej części, opowiada o rozbiciu społeczeństwa polskiego w Poznaniu, dawniej ściśle zjednoczonego, na dwa obozy: klerykalny i narodowy. Postępuje tu bardzo roztropnie, i bardzo wygodnie, bo wyraźnie powiada:

„Agitacje te, nieprzynoszące zaszczytu agitatorom tak pod względem zamiarów jak środków, zbyt się stały rozgłośnemi na cały obszar ziem polskich, abym e tu poszczególe powtarzać potrzebował. Dotknę jednak niektórych wydarzeń jaskrawszych“.

Jest to zwyczajny wybieg liberalny; tam gdzie nic można zacytować ani słów ani faktów, wywinąć się frazesem: „znana to, rozgłośna rzecz“.

Lecz autor pociesza nas dodając: „*Dotknę jednak niektórych wyrażeń jaskrawszych*“. Czytamy tedy dalej z wielką ciekawością, czekając na te „wydarzenia jaskrawsze“. — aż tu całą pierwszą część przebiegliśmy, i nie ma żadnego, nawet nie jaskrawego faktu przytoczonego. Natomiast rozwodzi się autor w historyozoficznym poglądzie nad początkiem ultramontanizmu, i ku zdziwieniu naszemu pisze:

Długoletnia ta jedność została zachwianą wpływem spraw obcych na nasze, jak byśmy byli w pełni niepodległości politycznej; niepotrzebowali unikać rozłamywania sił naszych, i mogli pozwolić sobie zbytku — sporów wewnętrznych. W zachodnich krajach jak wiadomo, wywiązały się były spory wewnętrzne z powodu, że interesa państwa stanęłyby w antagonizmie z interesami kościoła. Walkę tę przeniesiono w łono naszego społeczeństwa, mimo żeśmy bezpaństwowi, a z powodu wyjątkowego naszego politycznego położenia, potrzebujemy zgodności, nadającej siłę do odpierania zewnętrznego nacisku...

Przypuśćmy iż stronnictwo klerykalne ma racyę bytu w Niemczech, w Belgii, we Francyi, we Włoszech, jako reakcya przeciw pochłanianiu wszystkiego na rzecz państwa...

Ale u nas gdzie naród żyje jedynie społecznie, opłyniety falami obcego nacisku, który go usiluje pochłonąć na pożytek własnego organizmu, takie rozłamywanie sił straszliwą staje się plagą, ciężkiem przewinieniem przeciwko obecnym i przyszłym pokoleniom...

Ogłaszało, iż w pośród nas religia w niebezpieczeństwie, mimo że teraz jak przed wiekami szanowano powszechnie przepisy kościoła z zadowoleniem i błogosławieństwem papieży.

W pismach swoich brało pod skalpel krytyki sprawy publiczne, osobistości stojące u steru, niepodzielające jego zasad, zkąd wywiązywały się polemiki z dziennikami przeciwnych przekonań. W pierwszych czasach jednakże nie przemawiali klerykalni ze stanowiska nieomylności, również nie przekraczali przyjętej powszechnie przyzwoitości w dyskusji, ani razili jaskrawem wypowiedaniem swoich przekonań. Zachowany pewien stopień umiarkowania wychodził im na dobre, zdawało się jak gdyby oprócz rozbudzania uczuć religijnych i zasad konserwatywnych nie mieli nic innego na względzie. Goręcsi wśród nich niecierpliwili się jednakże na natrafiane na każdym kroku tamy i postanowili pójść na przebój. W *Tygodniku Katol.* miłość ojczyzny nazwano uczuciem pogańskiem. I nikt z ich koła nie zaprzeczył tej manifestacji. Odtąd zarysowały się też wyraźniej u nas dwa stronnictwa: klerykalne i narodowe. (Fałszem jest że *Tyg.* to wydrukował. Gdzie i kiedy? P. R.)

Stronnictwo klerykalne stanęło na gruncie teokracji, z tąd każde inne przekonanie uważa za uzurpacje swej władzy. Z całą też despotyczną ścisłością występowało po wiele razy nie już przeciw stronnictwu, ale przeciw uczuciu narodowemu. W wspomianym wyżej *Tygodniku Katolickim*, redaktor ks. Stagraczyński wydrukował artykuł znieważający całą przeszłość Polski. (Znana treść jego — ale fałszem co pisze autor. P. R.)

Według tego wywodu miał więc 1) ultramontanizm przyjść do nas z obczyzny. 2) Miał on rozpocząć walkę z stronnictwem narodowem od tego, że powstawał przeciw uczuciu narodowemu, i że krytykował czynności stojących u steru osobistości. Na dowód tego przytacza — nie — nie przytacza, ale z własnej fantazyi przywodzi, jakoby zdanie rzekomo *Tygodnika katol.*, że miłość ojczyzny jest uczuciem pogańskiem i twierdzi, że ks. Stagraczyński wydrukował artykuł znieważający całą przeszłość Polski.

Oto wywód z dowodami!

Jest on cały niezgodny ani z prawdą, ani z uczciwością dziennikarską. Ultramontanie to katolicy, a Polacy katolikami od wieków byli, więc nie powstali przez żadne obce wpływy, i nie są „filią żadnego obcego zawiązku“, jak się autor wyraża.

Walka ultramontanów i „narodowców“ czyli liberalnych, została wprawdzie z obczyzny przyniesioną, ale notujemy to wyraźnie: **nie przynieśli ją ultramontanie, ale liberały**. — Tak, niech o tem pamiętają liberali, iż na nich spadnie odpowiedzialność za rozerwanie obozu narodowego — odpowiedzialność i straszne biada! bo zguba dusz przez nich obałamuconych będzie ich wiecznem brzemieniem! — My pisząc to, nie poprzestaniem z autorem patalogii na ogólnikach, ale podamy następne dane:

Faktem jest, że stronnictwo rzekomo „narodowe“, jak sam autor patalogii przyznaje, było przed ultramontańskiem, że ono dobiło się steru spraw narodowych, a więc ono było pierwszem, co na polskiej katolickiej glebie rozkrzewiało zasady zwane liberalne; i szukało, jak to nieraz ono samo wypowiadało „dróg nowych“.

Faktem jest powtóre, że te zasady sprzeczne są z staremi Polski zasadami, na wskroś katolickiemi.

Faktem jest po trzecie, że ultramontanie, jak to sam autor patalogii przyznaje, ruszać się zaczęli dopiero później, gdy już liberalizm rozsiadł się w ojczyźnie — że więc walka ich nie była zaczepną, ale odporną, że „śpiąc“ (co im za winę z Ewangielią poczytamy) pozwolili nasiać kąkolu, i wtedy dopiero, gdy już chwast groził przygłuszeniem ziarna zdrowego, ocknęli się, aby bronić zagrożonych zasad i pozycyj swoich.

Oto trzy fakta, i dziś jeszcze prawdziwe, które zadają kłam patalogowi, a dowodzą, że on raczej sam choruje na moskwicyzm, który tej samej w obec Polski i Turcyi używa taktyki: „napada, gnębi i dusi, a przytem krzyczy, że to Polacy i Turcy temu winni.“ Z tych znś faktów widocznie wypływa, że nie ultramontanizm, lecz liberalizm przyniesiony do nas od obcych, i że on to filią obcego zawiązku.

Tyle o pierwszej części patalogii.

W drugiej części czekamy znowu, czy też w niej może autor spełni obietnicę i przytoczy „jaskrawsze wydarzenia“. Atoli w całej pierwszej połowie znowu naprożno czekamy. Autor rozwodzi się nad przyzwoitością towarzyską, nazywa ją miarą cywilizacyi (!) twierdzi, że młodsze duchowieństwo jako „synowie ludu“ tej przyzwoitości mieć nie mogą, a w końcu przechodzi do faktu, że duchowieństwo pozbawiane przez ustawy majowe posad, rzuciło się do dziennikarstwa. Tu dopiero wylewa autor całą żółć swoją na to dziennikarstwo, i mówi o niem:

„Pisma i pisemka powyższych publicystów wybornie mu sekundowały w jego zachciankach teokratycznych, używając zwrotów i wyrażeń, jakie może jedynie wytłumaczyć nieuzupełnienie naukowego ukształcenia przepisami przyzwoitości, niezbędnemi w lepszem wychowaniu.

Nie szczędzono uwłaczających przezwisk i insynuacyj, a jedno z nich drukowało prawie w każdym numerze, i zapewne dotąd drukuje jako perłę swego dowcipu — narod-owce, ile razy mu przyszło mówić o stronnictwie narodowem.

Nareszcie spotykamy się więc z niektórymi faktami, a oraz pojmujemy, do czego zmierzał ustęp o przyzwoitości